

Dwa lata temu, po klęsce na mundialu, Polacy otrzymali nie tylko nowego trenera, otrzymali także Twarz. Wybór był słuszny merytorycznie, lecz trafny przede wszystkim ze względu na różnicę. Różnicy polski futbol (a to Polska właśnie) potrzebował najbardziej. Wystarczy przyjrzeć się bacznie areopagowi naszych trenerów komentujących w telewizjach kolejne mecze. Przy największych nawet umiejętnościach nie mogliby wnieść na stanowisko selekcjonera tej jednej radykalnej odmiany – fizycznej. Choć z tak odległych niekiedy miotów, są jakoś sobie bliscy, i etnicznie, i mimicznie; na ich twarzach jest wypisana podobna, całkiem inna niż u Beenhakera, egzystencjalna kalkulacja, negocjacja z życiem; wśród trenerów może jeden Gmoch, zresztą już emeryt, mógłby swą wydłużoną szczęką wybić dziurę w murze podobieństwa. Ale nie chodzi jedynie o polską fizjonomię sportową, którą tu roztrząsam śladem mistrza Mamonii, opisującego w *Rejsie* twarz naszego i zagranicznego aktora, z korzyścią dla tego ostatniego. Jeśli zamiast Leo pojawiłby się u nas, dajmy na to, Hiddink, inny Holender, człowiek o zwykłej, krągłej, całkiem milej twarzy, nie byłibyśmy dzisiaj (snuję tę hipotezę z najwyższą przyjemnością) w finale Euro 2008, nawet gdyby od pierwszego meczu stawiał na Boruca, a nie Dudka i Błaszczakowskiego wypuszczał na murawę zawsze od początku meczu. Chodziło bowiem o prawdziwie Innego, kogoś, przed kim nie uda się utrzymać ani własnej ciągłości, ani własnej doraźności.

Nastanie Beenhakera zbiegło się w czasie z wielką zmianą polityczną. Na mównicach i dywanach pojawiły się nowe hasła, ale nie buzie. Nie da się, dzisiaj przynajmniej, zmieniać jednej republiki na drugą, dokonywać rewolucji, nie mając kompletnie wyglądu. IV RP była poza wszystkim innym fizjonomicznie zbyt nieciekawa, by uwiarygodnić hasła, nadać im impet. Nie miała nic z niepokojącej obcości, która mogłaby przyciągnąć naród hipnotycznie do granic, naciągnąć go na transgresję, namówić na ciach-prach. Z tych wąskich lub zaciśniętych ust, z tych wąsów i wąsisk, z tych niedopowiedzianych grymasów, z tych półuśmiezków – naszej fizjonomicznej specjalności – trudno było spijać wiarę, tworzyć nastrój dla podkarmienia ducha. W innej niż polityczna, ale niekoniecznie łatwiejszej przestrzeni narodowej, jaką stał się futbol, uruchomiona natomiast została w tym samym czasie moc przetworzenia i obracania przeszłości na nice; pojęcie „zza granicy” nabrało – zdrowej czy historycznej – siły inicjacyjnej: obcy, człowiek zza granicy, przyszedł przeprowadzić nas przez niewyobrażalną granicę.

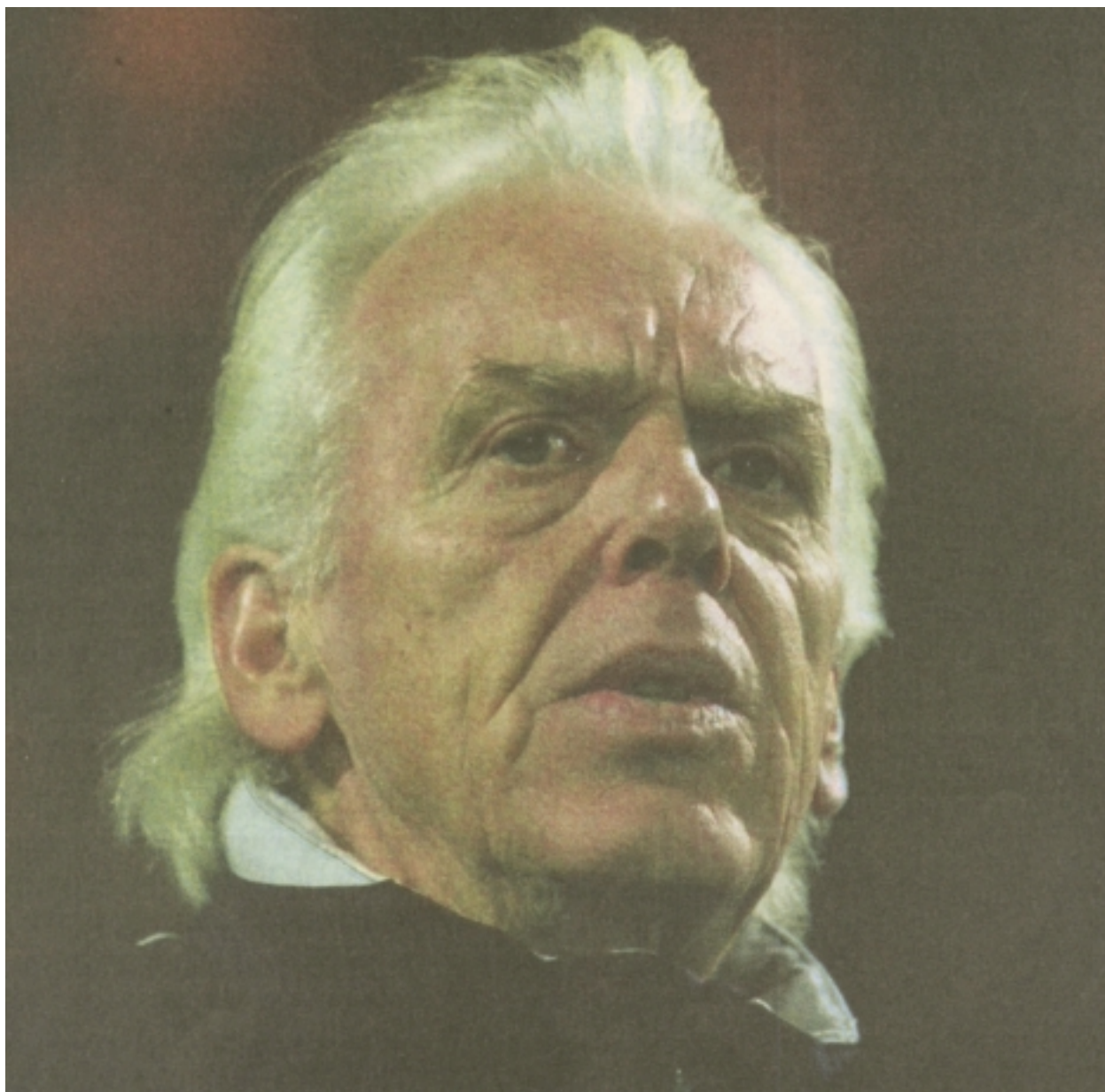
Jak każda, twarz Beenhakera ma wiele odmian, wypada na zdjęciach tak czy inaczej, ale zawsze dobrze, jeśli kryterium powodzenia jest ilość znaków do lektury, skojarzeń do wychwycenia. Gdziekolwiek się pojawi, otwiera wokół siebie czytelną, przestrzeń egzegetyczną; należy do tych rzadkich twarzy,

MAREK BIENČZYK

Twarz Beenhakera

na których każdy, banalny choćby nastrój pobrzmiewa jakąś głębią i ostatecznością, a nawet chwilowa bezmyślność zdaje się rozgrywać raczej w napiętej ciszy Johna Cage'a niż brać z wewnętrznego rozświetlenia. Niekiedy wywołuje rozczarowanie – nie, nie aparycją, lecz faktem, że oto nagle zdradza swoje powołanie, wygląd, który zapamiętaliśmy, a nawet istotę, którą zwykliśmy jej przypisywać. Była przecież taka poważna, a tu nagle coś się w niej śmieje; była przecież taka obca, nieobecna, wieczna, a tu coś w niej nieoczekiwane zdradza dzisiejszy dzień; była taka spokojna i elegancka jak wieczność, a tu nagle pod wpływem emocji pęcznieją w niej rysy. Bo też jest to w ogólności twarz zawieszona między ideą a zdarzeniem, między porządkiem pojęć a porządkiem substancji. Odwołuję się tu do słownictwa Rolanda Barthes'a: tym przeciwstawieniem posłużył się autor *Mitu i znaku* w słynnym tekście o twarzy Greta Garbo. Twarz Garbo można było interpretować uniwersalistycznie, abstrahując od osoby, można było doszukiwać się w niej wiecznej esencji, ujmować ją pojęciowo; natomiast twarz Audrey Hepburn była ekspresją ściśle indywidualną, łączącą się tylko z konkretem jej osoby i wydarzeń, jakie przeżywa. Twarz Beenhakera łączy oba porządki, krąży tam i tu, przemieszcza się w naturalnie dany jej sposób od absolutu do konkretnego, od konkretnego do absolutu, jej siłą jest to, że jednocześnie lub na zmianę informuje w mianowniku o niezmienności rzeczy, a w liczniku o wadze teraz, o prymacie *hic et nunc*, że raz (część) odsyła do ogólnych praw życia, innym razem do chwili, która się dzieje.

Na najciekawszym może portrecie fotograficznym Beenhakera, tym robionym lekko pod górę, na ciemnym tle i w ciemnej bluzie z jasną podszewką pod szyją, wahadło poszło ostro w jedną stronę: ta twarz mówi wprost o naturze rzeczy. Jest tak bardzo esencjonalna, że Beenhakker przestaje wręcz być do siebie podobny, aż tak bardzo charakterystyczny, przesuwa się na skraj swej możliwej ekspresji, gdzie jest trudniejszy do poznania; udzielił twarzy przeznaczeniu, które wyłobilo na niej swe wieczne przesłanie. To twarz aktora dramatycznego, poza Klausea Kinskiego jako Aguirry gniewu



Leo Beenhakker, fot. Kuba Atys.

bożego, kogoś, kto zapragnął (wszystkiego) z fatalnego człowieczego obowiązku klęski. Albo aktora szekspirowskiego na koniec ostatniego aktu; bohater już wszystko zrozumiał, pozbył się ostatnich złudzeń, wie teraz wszystko i niewiele już musi mówić. Nie jest to wiedza radosna; życie nasączone jest tragizmem, pełne zasadzek, zdrady i fałszywych tropów; rozkosze, sukcesy i uniesienia to uluda codzienności, pod spodem czai się Lewiatan, który nigdy nie zasypia. Dlatego z tej twarzy, z tych ust nie powinno nigdy spłynąć – i na tym właśnie polega Różnica – proste czy prostackie wyjaśnienie, banalne usprawiedliwienie faktów: arbiter źle gwizdał, boisko było ciężkie, zabrakło „przysłowiowego łutu szczęścia”, powinien być karny, a nie było. Jeśli coś nie wyszło, jeśli drużyna przegrała, to dlatego, że taka bywa kolej rzeczy i niepowodzenia wynikają z odwiecznych praw życia, z beznadziejnej ludz-

kiej gry, a nie z kalosza na nodze sędziego. Zauważyć można, że niektórzy zawodnicy pojęli tę zmianę trenerskiego języka i w mniejszym już stopniu szukają ewentualnej winy w błocie na polu karnym, w przypadkowości straconej bramki czy w głupio niewykorzystanej idealnej sytuacji, tak jakby wiedzieli, że mierzyć trzeba się z całością, a nie z drobnymi jej symptomami. Beenhakker poszerzył czy przeniósł pole zmagania; jeśli sądzić można, że jego twarz ma symboliczne znaczenie, to dlatego, że sama ofiarowuje się *pars pro toto* jako przykładowa przestrzeń spotkania człowieka z przeciwnościami losu, skupia na swych kilkudziesięciu centymetrach kwadratowych twardą prawdę o świecie i zarazem postulat oporu.

Topografia tej twarzy w klasyczny niejako sposób świadczy o „przejsiach”, o podjętej walce. Estetyczna przyjemność płynąca z wpatrywania się w nią wynika

z mapy śladów, jaką zostawiły potyczki z losem; smakujemy jej głębokie bruzdy tak, jak smakujemy wiersz Norwida czy *adagio* Mahlera – sztukę bitwy, a później powolnego, heroicznego, melancholijnego odchodzenia, odjeżdżania Cienia. Każda bruzda i zmarszczka (ich niemal symetryczny pióropusz nad brwiami, wokół koniecznego marsa, tak jakby rzeźbiarz układał je w znaczący deseń) jest wąwozem Termopile, doprawdy, nie było łatwo, nigdy nie było nas więcej niż trzystu. Wysoka czupryna z namiastką grzywy to wzniesiony totem, więcej, cała fryzura jest w pełni po stronie wyzwania i dzielności. Lekko nastroszona, godna i przede wszystkim opadająca za uszy, by dotknąć karku, nim dotknie go miecz. Kiedyś wyglądała jak żywe lata 60., Mick Jagger *in effigie*; dzisiaj należy do wojownika, do Brave Heart czy innego Władcy Pierścieni, do Leo Lwie Serce. Opuściły ją zbędne barwniki młodości, lecz pozostała długość i utrwaliła się biel, prymarny i emblematyczny kolor mądrości i przenikliwości. Porównanie tego portretu ze zdjęciami z lat dawnych, czasami Ajaxu i Realu Madryt, wskaże na, powtórzę, klasyczną, choć bynajmniej nie częstą ewolucję i prawidłowość: ta twarz stała się świetna, fascynująca dopiero po czasie; niektórzy powiedzą: prawdziwie męska; z pewnością to twarz dla kobiet, które nie cenią młodzieńczej bylejakości, gładkiej urawniłowki rysów, nudnolicej przystojności. Tamte madryckie i amsterdamskie krągłości, policzki tkwiące wciąż jedną nogą w niemowlęctwie, tamte ufrizowane jak cię mogą włoski z morderczym przedziałkiem (ileż wody musi upłynąć w naszych Wisłach, by zrozumieć wreszcie idiotyczność tej kreski!) nie obiecywały jeszcze stygmatu, nie przeznaczały twarzy Leo do wyższych celów i metaforycznych omówień. To przyszło później. Niewielu obliczom mężczyzn udaje się przejść na starość w stan wyższy, wymknąć ze słów rozpadu, znaczyć pięknie Doświadczenie, stawać się jego alegorią. Temu obliczu się powiodło.

Trzeba zwrócić uwagę, gdy mowa o skupieniu i walce, na nieco skryte, ale dość mocne oznaki zwierzęcości, drapieżnego instynktu przeżycia. Napięte oczy o rozszerzonych źrenicach, lecz zwłaszcza obwód utworzony przez cztery – dwie górne, dwie dolne – bruzdy wokół mięsistych ust, tworzące rodzaj trzeciego stanu, coś między fizys goryla i człowieka, gdy ten się już wyprostował. Do tego rozchylone wargi, w trakcie meczu ujmujące nieco inteligencji, lecz dodające witalnego skurczu, pierwotnego zaangażowania w przetrwanie. Podczas meczu z Belgią zauważyć można było dodatkowy ruch, nim Smolarek strzelił pierwszą bramkę: dolna szczęka odsłaniała się w dół, zwiększając otwór, twarz Leo oddawała się władztwu nerwowej chwili, z alegorii staczała się w konkret. To przejście, o którym wspominałem wcześniej, zawsze jest nieco szokujące, ciut zbija z tropu; trochę, troszeczkę odnieść można wrażenie, że Beenhakker wychodzi z gąbłoty,

daje się wmieszać w nadto doraźną rzeczywistość, zanurzyć w teraźniejszość, podobnie jak wizerunkowy, prawie monumentalny Humphrey Bogart wciągnięty w domowe pielesze bohatera filmu Woody’ego Allena. Jednak na tym zdaje się polegać transakcja, jaką proponuje: z jednej strony spłynie na was, Piłkarze-Polacy, siła spokoju, milcząca pieśń doświadczenia, aura modelowej kiepele, z drugiej zaś przeżyję to wszystko z wami, na waszym, lecz i na moim ciele, wraz z waszą i z moją głupotą. Ta twarz nie szuka kontaktu (zwłaszcza z kamerą), odmawia na ogół mimiki, lecz jak się już roześmiej, to prawdziwe, rubasznie (i ręce klepną Dziekanowskiego, teraz innych, w plecy); jak się otworzy, to na krótko, lecz głęboko.

Na innych zdjęciach, na przykład na portrecie, również znakomitym, w białej koszuli i w jaśniejszym, brązowo-sepiowym kolorystyce, usta pozostają ściśle domknięte i, przy swojej wydatności i zarazem foremności, tworzą niemal wzorcowe, „serduszkowate” ich przedstawienie. Bardzo mi przypominają swym rozmiarem, swym ogólnym rozmachem i zajmowanym na twarzy miejscem usta Jacques’a Brela – istnieje zresztą, gdy wyssać twarz Leo i Brela do szpiku, odsunąć na bok przygodne naleciałości, esencjonalne podobieństwo między nimi, łączące je dalej, w tył, z flamandzko-walloonską fizjonomią, jaką znamy głównie z dawnego malarstwa. Twarz z jasnego portretu można by bez zbytniego trudu wpasować w scenkę rodzajową jakiegoś większego czy mniejszego mistrza. W przeciwieństwie do opisywanego portretu „czarnego”, jest w niej coś ludowego, niemal krotocwilnego, światelko w obręczy powagi. Wpatrując się w nią i w dawne portrety mistrzów, prześledzić można miejsca wspólnoty i zarazem drogi, które twarz musi pokonać, by mimo wspólnoty i zbieżności wybić się na wyjątkowość, na arcydzielność.

Twarz Beenhakera jest wyjątkowa i bardzo mnie ciekawia jej dalsze dzieje. Tym bardziej że wiązać się będą jeszcze przez jakiś czas z naszym futbolem, czyli nadzieją na epifaniczne doświadczenie zbiorowe. Któregoś dnia, gdy kur zapieje, Leo odejdzie w swe góry skaliste jak Nieustraszone C. Eastwood z miasteczka. Tak ma na twarzy wypisane. Czy będą go żegnać wdzięczne za medale tłumy, czy o świcie nie będzie nikogo?¹

(O świcie nie było nikogo).

Przypis

¹ Leo Beenhakker był trenerem reprezentacji Polski w latach 2006-09. Tekst Marka Bieńczyka był pierwotnie (2008) drukowany w „Tygodniku Powszechnym”, następnie w zbiorze esejów *Książka twarzy* (Świat Książki, Warszawa 2011) [przyp. red.].